

Związek czyni człowieka (Enerdownce i inne ludzie)

Ryszard Wołosiuk

18.09.2011

Zapewne Polacy, którzy uważają, że mają lepiej od Niemców, są grupą tak odosobnioną w naszym kraju, jak posłowie Mniejszości **Niemieckiej** w parlamencie na Wiejskiej. Brygida Helbig przekonuje tymczasem, że mogą oni mieć rację. No, przynajmniej w odniesieniu do naszych sąsiadów mieszkających we wschodniej **części** kraju.

Pozwolę sobie zacząć od wątku osobistego. Przed przystąpieniem do lektury *Enerdownców i innych ludzi* miałem pewne obawy. Powiem wprost: uprzedziłem się do autorki. Na tylnej okładce **książki** można przeczytać, że Brygida Helbig jest urodzoną w Szczecinie (obecnie mieszka w Niemczech) pisarką i literaturoznawczynią, autorką poezji i prozy. W samym zeszłym roku wydała monografię młodopolskiej pisarki i tom wierszy. Takie zestawienie i taka częstotliwość wcale nie muszą wróżyć najlepiej (najczęściej nie wróżą). W dodatku przypominam sobie, że kiedyś czytałem tekst Helbig o teźże młodopolskiej pisarce, który mi się nie spodobał. Sami państwo przyznacie – widoki niezbyt obiecujące.

Zaczynam więc lekturę złośliwie wyczulony na wszelkie sztuczności stylu, stereotypowe rozwiązania fabularne, niezamierzony (bądź, co gorsza, zamierzony, ale nieudany) komizm. Całkowicie niepotrzebnie. *Enerdownce i inne ludzie* to wydawnictwo zupełnie przyzwoite. A nawet więcej, to książka operująca urozmaiconym stylem, nie bojąca się sięgnąć po ciekawe porównanie bądź niebanalną metaforę, a niekiedy nawet po rzadziej używane środki poetyckie, komplikując składnię w syllepsie bądź mnożąc pokrewne wyrazy w poliptotonie (taki Kruszyński w wersji soft). Oferuje ona pięć portretów-historii na postzależnościowy temat, o kompozycji luźnej i niejednorodnej, niemalże sylwicznej.

Najciekawsza w książce Helbig jest, jak sądzę, konsekwentnie konstruowana przez wszystkie rozdziały koncepcja podmiotowości, wedle której „ja” wyczerpuje się całkowicie w zależnościach, w jakich tkwi(ło) oraz w rolach, na których spełnianie ciągle jest nastawione. Zwłaszcza ten pierwszy element został w *Enerdowncach...* starannie rozwinięty. To w dużej mierze opowieść o tym, jak relacje, w których jesteśmy, kształtują nasze zachowania i sposób postrzegania świata. Bohaterowie Helbig mogliby nosić koszulki z napisem ułożonym przez bohatera *Debiutantów: My personality was created by someone else*. Pisarka zgrabnie wygrywa ten temat, zużytkowując w tym celu rozmaite tonacje, konteksty oraz tryby opowiadania. Pojawia się on zatem jako element historii bohaterów oraz narratorki, a czasem nieoczekiwanie wyłania w zanotowanych przez nią obserwacjach i refleksjach o kulturowej bądź obyczajowej tematyce: *Specjalnością wielu z nas jest spędzanie mnóstwa czasu na mozolnym wycofywaniu się z podjętych pod presją zobowiązań, wysyłaniu wypowiedzeń z fitness-clubów, odsyłaniu niechcianych paczek, przesyłek i abonamentów, wykradaniu się z podpisanych umów czy pośpiesznie zawartych małżeństw. Zresztą nasza kultura praktycznie nie przewiduje odmawiania wprost (...). Najpierw więc się podejmujemy, a później kluczymy, kłamiemy, chorujemy i kombinujemy*.

Czasem kwestia zależności przyjmuje w opowieści Helbig taką lekką formę błyskotliwej obserwacji (z których zresztą, czasem obciążonych fabułowtworkim ciężarem, a czasem nie, składa się pokaźna część książki), innym razem, jak w „romansie rodzinnym” narratorki, ukazana zostaje jako fatum, tajemnicza, obciążająca całą rodzinę niczym w *Niecierpliwych* Zofii Nałkowskiej kłątwa. *Dźwigał – być może razem z babcią – jakąś wielką, bolesną tajemnicę, jakąś odpowiedzialność ponad siły, o której nigdy nie mówił nikomu, a*

której wszyscy jesteśmy dziedzicami. Jakże inaczej wytłumaczyć sobie zło, które przetacza się regularnie przez losy potomków dziadka i ich dzieci? Czyjeś samobójstwo, przedwczesną śmierć? To, że w imię wzajemnej miłości coraz więcej zadajemy sobie bólu? – pisze o swoim dziadku (i o całej rodzinie) narratorka.

Diagnoza pisarki dotycząca miejsca relacji z innymi w naszym życiu mogłaby brzmieć następująco: związki (z rodzicami, partnerami, przyjaciółmi) tworzą w fundamentalnym stopniu naszą osobowość, kształtują nawyki myślowe, torują w zachowaniach koleiny, w które w późniejszym życiu bezwiednie wpadamy. Doskonale ukazuje to przedstawiona w pierwszym rozdziale opowieść o związku Uty i Rainera. On, zdominowany w tej relacji, decyduje się w końcu odejść do innej kobiety. Jednak po pewnym czasie zaczyna tęsknić za Utą, więc nową partnerkę uczy zachowań i gestów swojej poprzedniczki, a nawet zaczyna stosować w stosunku do niej te same werbalne i niewerbalne sposoby podporządkowywania, jakie wobec niego samego praktykowała Uta.

Ta sytuacja świetnie pokazuje, że w naszych działaniach nad racjonalnymi wyborami często góruje powtarzanie schematów, jakich nauczyliśmy się w przeszłości.

Najważniejszym kontekstem, w jakim Helbig umieszcza dominujący temat książki, jest kwestia tożsamości post-NRD-owskiej. Pisarka przedstawia w *Enerdowncach...* krytyczną ocenę zmiany ustrojowej w Niemczech, dokonaną z perspektywy mieszkańców wschodniej części kraju. Pokazuje, jak ukształtowani przez komunistyczne rządy obywatele NRD nie potrafią przystosować się do nowej, kapitalistycznej rzeczywistości. Unikając nadmiernego mitologizowania i fetyszyzacji życia w „byłej NRD”, autorce udało się wiarygodnie przedstawić sytuację jej mieszkańców. Wychowani w poczuciu niższości wobec Zachodu oraz zaznajomieni jedynie z gospodarką planowaną, nie posiadają wystarczających kompetencji, by konkurować z sąsiadami z RFN, wychowanymi w kapitalizmie. Nowy system oznacza dla nich jedynie kolejne upokorzenia. *Obcokrajowcami we własnym kraju są jednak także byli enerdowncy – pisze Helbig. – To oni czują się wchłonięci przez inny kraj, to oni mają wrażenie, że zignorowano ich specyfikę kulturową, żądając pełnej asymilacji, że nie istnieją naprawdę. Wielu z nich, niekoniecznie politycznie zaangażowanych, utraciło po przełomie miejsca pracy. Poobniżano im oceny maturalne, nie uznano wyższych studiów, przekreślono przeszłość i dokonania. Niemal w ciągu jednej nocy odebrano własny kraj.*

Sugestywny obraz tej „skolonizowanej” mentalności pojawia się przede wszystkim za sprawą wykreowanej przez pisarkę postaci Uwika. Wraz ze zjednoczeniem Niemiec pozbawiony pracy, w przewrotny sposób korzysta z dobrodziejstw kapitalizmu; jest niczym Józek z *Opowieści galicyjskich* Stasiuka przeniesiony w kapitalistyczne realia. Utrzymuje się z zasiłku dla bezrobotnych, Urząd Zatrudnienia płaci także za jego podróże: gdy Uwe chce kogoś odwiedzić, umawia się na rozmowę kwalifikacyjną w mieście, które zamieszkuje jego znajomy, dzięki czemu podróż finansuje Jobcenter. Na rekruterach stara się, oczywiście, zrobić jak najgorsze wrażenie. Swoją pasję do prawa realizuje, wytaczając procesy sądowe różnym instytucjom. Inne jego hobby stanowi obdarowywanie znajomych wątpliwej przydatności (jak na przykład maszyna do robenia wafli) nagrodami z gazetowych konkursów.

W rzeczywistości, w której wszyscy starają się nadażyć za „duchem czasów”, Uwe najchętniej przesiaduje w opuszczonym domu, czytając gazety sprzed piętnastu lat i wspominając lata jeszcze dawniejsze. Wszelkie jego działania układają się w nieświadomy protest *przeciwko społeczeństwu, w którym wszystko, co robimy, nastawione być musi na profit*. Jego opór wobec kapitalistycznego ideału produktywności i samorealizacji przyjmuje charakter wręcz programowy.

W porównaniu do Uwika pozostali bohaterowie książki – Uta, Rainer, Dieter – wydają się „niedopracowani”. Dieter, chociaż jest przecież jedynym przyjacielem Uwe, pojawia się właściwie epizodycznie, Uta i Rainer zaś zostali, jak sędzę, ukazani jednowymiarowo, w ich opisie przeważają esencjonalizujące przymiotniki. Częściowo winna jest tu również, jak przypuszczam, kompozycja całości. Dla wspomnianej już przeze mnie sylwiczności trudno znaleźć jakąś funkcję, przez co może ona wywoływać wrażenie, że autorce po prostu trudno było się zdecydować, o czym i jak chce pisać – poważnie o ludziach czy dowcipnie o współczesnej kulturze. Oczywiście, takie mieszanie gatunków i tonacji często przynosi efekty bardzo interesujące. Ale w przypadku *Enerdowców i innych ludzi* często (choć, rzecz jasna, zdarzają się także momenty bardzo dobre, jak na przykład wzmiankowany już rozdział przedstawiający „historię” rodzinną narratorki) wychodzi z tej amplitudy jedna z najmniej ciekawych temperatur – letnia. Ale chociażby ze względu na zaproponowaną koncepcję podmiotowości, ze szczególnym uwzględnieniem wątku postzależnościowego, warto książkę autorstwa Helbig przeczytać.

Brygida Helbig, *Enerdowce i inne ludzie*
Wyd. Forma, 2011